

### **Opis źródła:**

Źródło ma charakter korespondencji, choć tak naprawdę był to dziennik z podróży Emila Habdanka-Dunikowskiego (1855-1924), który napisał w trakcie swojej podróży do Stanów Zjednoczonych. Opisywane wydarzenia miały miejsce w czasie jego drugiej wizyty w USA, gdy z polecenia posłów Sejmu Krajowego we Lwowie miał on lepiej przyjrzeć się polskiemu wychodźstwu w USA. Dziennik z podróży został opublikowany w formie listów w monografii wydanej w 1893 r. we Lwowie. Autor opisuje w nim swoje spostrzeżenia na temat życia Polonii amerykańskiej w okresie gdy ta dopiero zaczynała kształtować swoją pozycję w tym kraju. Skróty (...) zostały wprowadzone przez Bogdana Grzełońskiego.

### **Miejsce wydania.:**

Emil Habdank-Dunikowski, *Wśród Polonii w Ameryce. Druga seria „Listów z Ameryki”*, Lwów 1893; Emil Habdank-Dunikowski, [w:] *Ameryka w pamiątkach Polaków. Antologia*, [red. B. Grzełoński], Warszawa 1975, s. 212-221.

### **Tekst źródła:**

#### **Wśród Polonii w Ameryce. Druga seria „Listów z Ameryki”**

*Buffalo, 22 sierpnia 1892*

Pisząc ten list spoglądam raz po raz to na mapę Stanów Zjednoczonych, to na ulice i ludzi przez okienka mojej willi; pierwsze pouczają mnie, że jestem w Ameryce nad jeziorem Erie, kilka tysięcy mil od kraju — ale widok z okna, głosy dochodzące do mych uszu zadają kłam temu.

Ej, to nie Ameryka! To Tarnów, Stanisławów lub coś podobnego! Wszakże na ulicy hałasują polskie chłopaki; gdzie spojrzę, polskie napisy, jak np. „Hurtowny skład kawy i cukru, Handel żelazny, Handel taki i owaki Sawickiego, Wiśniewskiego, Bliskiego itp., Pani X. Y., praktyczna akuszerka. Tutaj wyrywają zęby” itp. A wszakże i sam mieszkam w polskim hoteliku „Kościuszko-Hall” własności p. Nowaka z Poznania; ba, nawet z wyjątkiem głównego „Broadway” ulice mają polskie nazwy: ulica Sobieskiego, ulica Kościuszki itp.

Z okien moich widzę cztery okazałe kościoły, przy nich cztery imponujące gmachy: to są polskie szkoły, jakżeż więc mam wierzyć, że jestem na drugiej półkuli? Tak! jestem w samym środku polskiego miasta, liczącego 40 000 do 50 000 mieszkańców, w środku zdrowego, pełnego życia i siły odpornej ludu, który nie tylko, że sam się nie wynaradawia, ale jeszcze i asymiluje! Śmiecie się z tego, a jednak to jest faktem, jankesi i Niemcy, którzy się dostali pomiędzy to polskie mrowisko, spolonizowali się częścią z musu, częścią dla interesu.

I cóż mnie przeto obchodzi, że tam dalej ciągnie się wielkie amerykańskie Buffalo liczące wszystkiego razem przeszło 270 000 mieszkańców. Ta polska część, stanowiąca 1/5 całości, jest silna, istniejąca sama dla siebie; tutaj wszystko, co widzimy, kościoły, szkoły i zakłady, powstało bez wszelkich subwencji sejmowych, jedynie z centów, które robotnik od ust sobie odejmuje!

(...) Z małym tylko wyjątkiem mieszkają wszyscy Polacy buffalowscy razem, wschodnia część głównej arterii miasta, tj. Broadway, jak też wszystkie poprzeczne ulice ją przecinające są wyłącznie polskie. Dość powiedzieć, że magistrat miasta widział się zmuszonym otworzyć tu osobną targowicę polską.

Tu więc nasze kumoszki gwarzą i targują jak na Kleparzu, z pełnymi koszami jarzyn i mięsiwa wracają do domu, bo trzeba wiedzieć, że nasz chłopiek lub wyrobnik, który u nas w domu mięso jada chyba od wielkiego święta, ma tutaj trzy razy dziennie swą pieczeń lub befileak.

Idę ulicą, spozieram dokoła, słucham objaśnień mych przewodników i nie chcę wierzyć. Te domki drewniane, z ogródkami, schludne — w guście naszych lepszych dworów małomiasteczkowych — to własność naszych ludzi, i to nie rzemieślników, lecz prostych robotników dziennych. Przeważna tylko część ludności polskiej należy do tej ostatniej kategorii, pracując przy budowie dróg, kanałów, wodociągów itd. i zarabiają 1½ dolara dziennie. Rzemieślnicy w swym fachu może liczyć na — co najmniej — 60 dolarów miesięcznie. Stale, lepsi robotnicy, zwłaszcza w przemyśle żelaznym, zarabiają i więcej. Prawdziwym błogosławieństwem takiego człowieka jest liczna rodzina, bo każde dziecko, które ze szkół wyjdzie, zarabia także kilka dolarów tygodniowo. Stąd więc rzadkie wypadki, w których rodzina ma mniej 150, a nawet 200 dolarów miesięcznego dochodu, toteż Polaczki nie tracą czasu i mnożą się jak króliki.

Wobec tutejszej taniości dochód taki prowadzi przy oszczędności do dobrobytu. Funt mięsa kosztuje 6-12 centów, wielki bochenek chleba 5 centów, funt cukru 5 centów, funt najdroższej kawy 35 centów, funt najlepszej herbaty dolar, ubiór męski 12 dolarów, mieszkanie własne jednoizbowe z kuchnią — 3-4 dolary.

Dążeniem każdego jest nabycie własnego domku, kupuje więc sobie lot (grunt pod budowę) i stawia domek na wpół na wpłatę. Loty idą wagę ogonie w górę. W miejscach, gdzie przed 10 laty na Broadwayu kosztowała stopa (przez stopę rozumie się tu jeden stopa frontu, a 200 stóp w głąb) 15-20 dolarów, kosztuje dziś 100-200. W bocznych ulicach jest znacznie taniej, tak że lot wart 10 lat wyniesie 1200-1800 dolarów, nabywca więc na raty oddzieluje jedną część domu i w przeciągu kilku lub kilkunastu lat staje się właścicielem tegoż.

Mieszkania są porządne i schludne, wyjątek stanowią mieszkania naszych braci Galicjanów, którzy w ogóle między Polonią tutejszą najgorszą mają reputację. Zwiedzałem kilka takich galicyjskich domów i muszę przyznać, że większego brudu, nędzy i nieporządku nie znaleźć i w kraju. Na moje zapytanie, dlaczego tam więc wtykają i nie mieszkają po ludzku, odpowiadali stereotypowo, że urządzają się tu wcale, gdyż nie myślą pozostać w Ameryce, lecz skoro tylko trochę grosza złożą, wracają do kraju.

Z czterech, a właściwie z 5 tutejszych parafii (licząc do tego i nową tworzącą się przy nie skończonym jeszcze kościele Św. Jana Kantego) największą jest parafia Św. Stanisława, gdyż proboszczem jest ks. Pitass, rodem ze Śląska pruskiego, przebywający w Buffalo od lat blisko 20. Parafia ta, licząca obecnie 27 000 dusz, a przynosząca według zestawienia ks. proboszcza 40 000 dolarów dochodu rocznego brutto, założona jest właśnie przez ks. Pitassa, który to zbudował ładny kościół, szkoły i dom dla sióstr felicjanek itp. Najwięcej interesowałem się naturalnie szkołami i z żalem muszę wyznać, że ich zewnętrzne oglądanie, przypominające nawet nasze gmachy lwowskie dla szkół średnich, nie odpowiada rzeczywistości wewnętrznej treści. Egzaminowałem chłopców, którzy odpowiedzieli bynajmniej nie tylko po angielsku, ale nawet po polsku i w ogóle nic nie umieją. Głównymi nauczycielkami są siostry felicjanki, które, jak idzie o wykształcenie to jego kwalifikacji nie mają; o nauczycielu dobrego jest trudno, gdyż ktoś z teje kandydańków prostym służącym proboszcza, z widokiem utraty służby za każdej chwili. Reform ta szkół parafialnych jest więc niezmiernej wagi i obecnie bardzo piekąca, zwłaszcza jeżeli się zważy, że do takiej szkółki uczęszcza przeszło 2600 dzieci.

Towarzystw i korporacji polskich jest tu mnóstwo. Dziwna, że pomiędzy Polakami w Ameryce objawia się tak silny duch separatystyczny. Dość, żeby jakieś większe towarzystwo istniało dłuższy czas, a już znajdzie się kilku malkontentów, którzy wystąpią i zakładają osobne towarzystwo dla siebie, co naturalnie ogółowi przynosi ujmę.

Najważniejsze towarzystwa należą do Związku Narodowego Towarzystw Polskich, o którym jednakże więcej się dowiemy, gdy będziemy w głównej jego siedzibie, tj. w Chicago. Oprócz tego jest tu Unia Katolicka, na której czele stoją księża, licząca dotychczas około 500 członków, przeważnie z Buffalo. Nie trzeba jednakże myśleć, żeby Związek obejmował masonów lub miał jakie cele antykatolickie, chociaż widocznie tegoż pokazują mi nierz swą książeczkę, z której wynika, że biedny taki zarobnik należący do Związku płaci rocznie 1 dolara i 50 centów, od czego w razie śmierci otrzymuje jego rodzina 500 dolarów rocznie. Bardzo poważną instytucją jest tutejsza „Czytelnia Polska” mająca swój lokal w Kościuszko-Hall. Popyt na książkami jest wielki, z kilkuset tomów zostało w domu tylko kilkanaście, reszta rozpozyczona.

Najliczniejsze są towarzystwa kościelne. Towarzystwo śp. Wojciecha, Św. Krzyża itp. liczą po kilkaset członków i mają po parę tysięcy dolarów majątku. Wypada więc swym członkom po 4 dolary tygodniowo na wypadek pogrzebu, a woda dostaje odprawy od każdego członka po 1 dolarze, co stanowi ładny kapitał po kilkaset dolarów. Właśnie, gdy to piszę, przechodzi przez ulicę orszak pogrzebowy, mianowicie Towarzystwa Św. Krzyża, odprowadzający swemu członkowi ostatnią przysługę. Jako odznaki mają wszyscy szkarłatne szarfy ze złotym krzyżem, na czele kroczy polska kapela, gdyż i tu ta istnieje, a proboszcz od Św. Wojciecha, ks. Zaręczny, krząta się około założenia drugiej.

Nawet panny polskie mają swe stowarzyszenie i odznaki, mianowicie ładne pelerynki, w których im bardzo do twarzy.

Ujemną stroną tutejszej polskiej kolonii są nadzwyczaj liczne polskie „saloon’y”, czyli po naszymu karczmy, które się spotyka na każdym kroku. Skoro tylko Polak poczuje paręset dolarów w kieszeni, zakłada zaraz salon, bo mu się wydaje przyjemniejszą rzeczą siedzieć za

szynkwasem i sprzedawać wódkę anizeli walić cały dzień młotem, i byłoby bardzo pożądaną rzeczą, aby magistraty miejskie nie były tak liberalne w udzielaniu licencji na salony.

Nie brak wreszcie i prawdziwej nędzy. Lekarz tutejszej polskiej kolonii dr Schroeter, warszawiak, znający stosunki dokładnie, mówił mi, że zwykle pomiędzy nowo przybyłymi, tzw. greenhornami, panuje straszliwa nędza. Przybywają tu bez centa, bez znajomości języka i stosunków, przybywają z żonami i dziećmi, a nie mogą znaleźć roboty, giną literalnie z głodu. Nie należąc do żadnego towarzystwa, nie mogą otrzymać wsparcia, a instytucji, która by się zajęła świeżo przybyłymi wychodźcami, nie ma tu wcale.

Co się tyczy prasy tutejszej, to oprócz „Echa”, redagowanego bardzo dobrze i zacnie przez p. Dewojno, jest jeszcze „Polak w Ameryce”, organ ks. Pitassa, wychodzący dwa razy na tydzień pod redakcją p. Ślisza, „Wiek” p. Łobarzewskiego i kilka pomniejszych, powstałych przed, a mających zniknąć po wyborach (...).

*Detroit (Michigan), 29 sierpnia 1892*

(...) Detroit jest ślicznym miastem, jednym z najpiękniejszych, które widziałem w Stanach Zjednoczonych, a widziałem ich sporo. Ulice szerokie, asfaltowane lub brukowane drewnianymi kostkami, czyste i porządne, domy eleganckie, w guście europejskim, a przy tym nie widać amerykańskiego zgiełku i wrzawy, mimo że miasto liczy około 220 000 mieszkańców.

Główny środek miasta jest w pobliżu rzeki, w miejscu, gdzie się zaczyna Woodward Avenue, najpiękniejsza ulica miasta. Z tego miejsca rozchodzą się wszystkie inne ulice (streets) i avenues, tak że zakłada tu podobny jest do gwiazdy uciętej z jednej strony w pobliżu środka przez rzekę.

Zaczynamy więc nasz spacer od Woodward Avenue w miejscu przecięcia jej przez inne ulice. Tu wznosi się wcale piękny City Hall (renaissance), w jego posąg wojenny, a dookoła pałace, zajęte przeważnie przez handel i w ogóle business. Równoległe z rzeką biegnie Jefferson Avenue, na której w cieniu alei przechadzamy się w gorący dzień, zachwycając się gustownymi willami po obydwu stronach. Nad samą wodą nie ma, niestety, wyczyszczonych zakładów rybnych i brudna uliczka Atwater Street.

Lecz oto przewodnicy moi zbaczają na północ, na niepokąźną, ale kilka mil długą St. Aubin Avenue. Co się tyczy nazwy samej, to trzeba wiedzieć, że Detroit, założone niegdyś przez Francuzów, ma mnóstwo ulic z francuskimi nazwami, ale to jest wszystko, co pozostało po wychodźcach znanym z Sekwany, oni sami znikli prawie bez śladu w tym potężnym, ruchliwym anglosaskim morzu.

St. Aubin Avenue, po której obecnie kroczymy, staje się coraz to spokojniejsza, małe, niepokąźne domki wznoszą się po obu stronach. Po cóż więc przewodnicy moi wiedzą mnie tutaj, porzuciwszy przepych Woodward Avenue? Jeden rzut oka na napisy na sklepach i domach poucza mnie o celu przechadzki w te odległe części miasta. Tutaj mieszkają prawie sami Polacy; z 35 000 polskich mieszkańców Detroit znaczniejsza część osiedliła się tutaj, podczas

gdy mniejsza część obrała sobie zachodnią obszar miasta na mieszkanie. Wstępujemy do pięknego kościoła Św. Wojciecha, gdzie nas przyjmuje szanowny proboszcz ks. Chodniewicz, oprowadzając po domu bożym i zapraszając potem na plebanię.

W sąsiedztwie wznosi się potężny, czteropiętrowy gmach polskiego seminarium. Zaczyna ks. rektor Dąbrowski, który z największym poświęceniem i wytrwałością doprowadził tę ważną instytucję do skutku, zbierając centami fundusz na to potrzebny, oprowadza nas po całym gmachu i opowiada dzieje i walki zakładu. Zakład ten zawiera nie tylko seminarium rzymskokatolickie, ale także szkołę przygotowawczą o pięcioletnim kursie, coś w rodzaju naszego gimnazjum.

Instytucja ta nie ma żadnych funduszy i utrzymuje się tylko zbieranym groszem, bo jedynie Związek Narodowy Stowarzyszeń Polskich postanowił ją popierać, i uchwalił podatek dobrowolny na ten cel w sumie 1 dolara od każdego członka rocznie. Dotychczas wpływy na tego rodzaju fundusze wynoszą 700 dolarów. Ten brak funduszy stoi na przeszkodzie rozwojowi seminarium; profesorów jest mało i są przeciążeni pracą, bo każdy musi zastępować kilka katedr.

Tuż obok znajduje się także klasztor sióstr felicjanek. Sędziwa matka Mońka przyjmuje serdecznie gości z dalekich stron winnic z własnej piwnicy i pięknymi owocami z własnego ogrodu, po czym następuje zwiedzanie zakładu. W oddziale sierot uczą się właśnie dziewczątka robót kobiecych i śpiewają polskie pieśni.

Siostry felicjanki zaopatrują wszystkie szkoły parafialne polskie w Ameryce w nauczycielki, obecnie wyjechało około 300 sióstr na swoje posady. Każda pobiera z parafii, w której uczy, 18 dolarów miesięcznie, i ta skromna pensja nie tylko wystarcza siostrom na życie, lecz nawet daje sposobność do oszczędności, której się nie wyrzekają w amerykańskim klasztorze. Matka Monika stara się o to, ażeby siostry miały jak najlepszą kwalifikację, na dowód tego przedłożyła mi cztery znakomite świadectwa od profesorów, które w tutejszym miejscowym zakładzie naukowym zdały bardzo dobrym postępowaniem egzaminu.

Jedziemy do drugiej parafii — Św. Józafata, odległej stąd o milę.

Po drodze zwracam uwagę na rozpoczętą budowę wielkiego kościoła w gotyckim stylu, obok którego stoi gotowa już szkoła polska służąca na razie za kapliczkę pod kierunkiem proboszcza. Od swych przewodników dowiaduję się ciekawych rzeczy, że nie będę ich tu skracał i kuwinowaniu wierzył. Wszak to, co widzę, jest „wulkanem w koło Europejczyków w Ameryce”, schizmą w najdziwniejszej swej postaci. Ks. Kowalski, nie mogąc otrzymać tu parafii, mianowali się proboszczem sam sobie, zawiązali rodzaj stowarzyszenia polskiego i niezależnie posłuszeństwa biskupowi z Rzymowi, zgromadził sobie parafian, zabiera pieniądze, buduje kościół i, mimo ekskomuniki, sprawuje wszelkie funkcje kapłańskie. Ustawy państwowe pozwalają mu na to, a poczciwy ludek, nie mając pojęcia, jakiej to doniosłości jest ten krok ks. K., kupi się koło jego gromadnie, są to tylko zwykły i usprawiedliwiony zataił kapłana, broniącego polskiemu ludowi przeciwko biskupowi „ajryszowi” (irish).

Parafia św. Józafata, którą zarządza ks. Raczywolski, równocześnie nauczyciel i rektor seminarium, liczy około 800 rodzin. Kościółek niewielki, ale ładny i dobrze zbudowany.

Zwiedziłem także kolonię polską po zachodniej stronie miasta i znalazłem tu jeden z najpiękniejszych kościołów polskich w Ameryce, mianowicie kościół Św. Kazimierza. Patrząc się na tę pyszną budowę o dwóch wysokich kopułach, o kosztownych oknach z malowidłami, a tak obszerną, że samych miejsc siedzących jest przeszło 1 1/2 tysiąca, prawie wierzyć się nie chce, że to wszystko zbudowane za centy i dolary najbiedniejszych ludzi, bo wyrobników pracujących w pocie czoła za skromną zapłatę. Ks. Gutowski, proboszcz tejże parafii, objaśnił mi wiele ciekawych szczegółów do do swych parafian i w ogóle naszych wychodźców. Znaczną część pomiędzy nimi stanowią Kaszubi, którzy atoli są przeważnie zniemczeni, tak że nimi uważają się za Niemców, i żyją pomiędzy Polakami tylko dlatego, aby należeć do rzymskokatolickiej parafii.

Stosunki zarobku i dobrobytu pomiędzy naszymi wychodźcami są takie same jak w Buffalo. Można tu jednak napotkać i prawdziwą zamożność, poznałem ludzi z gminu, którzy się tu dorobili majątku do 50 000 dolarów. Są tu także dwa polskie browary. (...) Są i polskie farmy, i trzeba widzieć, jak nasz Maćki tu gospodarują. Spoglądając na ten dobrobyt, na schludne jasne pokoiki, na ścianach których obok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej wiszą wizerunki Kościuszki i Pułaskiego, spoglądając na ten obiad złożony z mięsa, chleba, jaj, owoców, do którego nas uprzejmy gospodarz zaprasza, wierzyć się nie chce, że to ten sam chłopiec, który w kraju wśród nawozu i błota, nad jeziorem z gnojówki przymrużał z głodu lub zapycha się kartoflami.

A trzeba słyszeć, jaki z niego polityk! Jak on piorunuje na republikanów, jeżeli jest demokratą, i na odwrót, jakie on ma pojęcie o ważności swego głosu, który chce oddać swemu kandydatowi.

Często jest tu tyle farm polskich obok siebie, że tworzą polską wieś i osobną polską parafię (...)

*7 października 1892*

Pierwszą ma większą stacją było Cleveland, potężne, bo przeszło 1/4-milionowe miasto nad jeziorem Erie, pierwsze co do wielkości po Cincinnati w stanie Ohio.

Spacerując po ulicach tego miasta ma się wrażenie dalekiego zachodu, gdzie w dzikiej puszczy buduje się dom po domu — gdzie wszystko dopiero wytyczone i nie skończone. Nie sądziłem nigdy, aby tak wielkie i już 60 lat istniejące miasto na wschodzie mogło mieć taki dziki wygląd. Tu bowiem widzi się nagle dziki bór lub dziewiczą prerię pomiędzy ulic i domy, a pyszne gmachy, pełne zbytek, graniczą bezpośrednio z nieokiełznaną puszcza. Nigdy i nigdzie mi się nie zdarzało mi się widzieć tak wybitnego zetknięcia się kultury z pierwotną naturą. Idziemy sobie spokojnie ulicą, gdy nagle spostrzegamy przed sobą wielki jar, ulica się urywa stromą ścianą, porośłą burzanami i chwastami, a mieszkańcy sąsiednich domków ostrzegają nas w różnych językach, polskim mówią nam po tym; na razie, chcąc się dostać na drugą stronę, musimy stanąć most, bo błędza nam, idąc za przykładem amerykańskich dziadków, spuścimy się w jar dla skrócenia drogi. Obłoceni, pokryci kurzem, widzimy tu i ówdzie do jeźów niby do ludzi podobni, bo w sukniach naszymi tkwią setki kolców z bodiaków i jakies złośliwe kolczaste nasienia chwastów, które drapią niełomisiomie.

Toż samo, udając się z jednej części miasta na drugą, musimy przechodzić przez stopy i jary, musimy brnąć po kolana w piasku, bo drogi jeszcze nie gotowe. W głębokim parowie, przecinającym wschodnią część miasta, rozsadziły się olbrzymie destylarnie nafty, Standard Oil Co., dalej na północ walcownie, hamerme etc., gdyż Cleveland jest fabrycznym miastem i odznacza się przede wszystkim przemysłem żelaznym.

Oczywista, że i Polonia clevelandzka, której tutaj jest około 20 000, nie pozostała w tyle za innymi miastami w przyjęciu gościa ze „starego kraju”.

W otoczeniu licznego towarzystwa, które pod przewodnictwem mego serdecznego znajomego z Buffalo, p. Dewojno, redaktora tutejszej „Polonii w Ameryce”, powitało mnie na dworcu, udajemy się pieszo na śniadanie w hotelu Forest-Home „na Warszawę”. „Warszawa” jest to główna kolonia polska w Cleveland, kupiąca się koło kościoła Św. Stanisława, i wygląda bardzo przyzwoicie. Przede wszystkim kościół w stylu gotyckim jest wielki i wspaniały, z grzywnieniami w oknach i malowidła. Polskie domki, przeważnie drewniane, są schludne, przestronne i świadczą o dobrobycie mieszkańców. Są jednakże i murowane, formalne pałacyki, jak np. willa p. Orlikowskiego, który mnie przyjął w gościnie i serdecznie podejmuje. Przybył on tu przed 20 laty z Prus Zachodnich jako biedny biedowczy, wytrwałą jednak pracą i przedsiębiorczym zmysłem dorobił się znacznego majątku i jest dziś wpływowym i poważnym obywatelem. [...]

### **Słowniczek pojęć:**

*Kleparz* – dzielnica w Krakowie, znana z odbywających się tam Targów.

*Siostry Felicjanki* – Zgromadzenie Sióstr Świętego Feliksa z Kantalicjo Trzeciego Zakonu Regularnego Świętego Franciszka Serafickiego. Zostało założone w 1855 r. przez bł. Marię Angelę Truszkowską. Zajmuje się głównie działalnością wychowawczą. W XIX i XX wieku zakon prowadził placówki edukacyjne dla Polonii. Obecnie zakony sióstr Felicjanek istnieją w kilku krajach w tym m.in. w Brazylii, USA, Kanadzie i oczywiście w Polsce gdzie istnieją trzy prowincje; krakowska, warszawska i przemyska.[\[1\]](#)

*Związek Narodowy Towarzystw Polskich* – zwany też Związkiem Narodowym Polskim, najstarsza organizacja polonijna w USA, założona w 1880 r.[\[2\]](#)

*Czytelnia Polska* – placówka polonijna promująca czytelnictwo i kulturę polską.

*Polonia w Ameryce* – Czasopismo wychodzące w Cleveland od 1892 r. do 1925 r. Jednym z redaktorów czasopisma był Ludwik Dewojno znajomy autora źródła. „Polonia w Ameryce” była jednym z najważniejszych czasopism polonijnych, którego tematyka obejmowała nie tylko kwestie związane z Polonią, ale również z USA.[\[3\]](#)

### **Pytania do źródła;**

### **Pytania dla uczniów szkoły podstawowej i średniej:**

1. Jak autor przedstawia sytuację materialną Polonii w USA?
2. Która grupa społeczna Polaków najczęściej zdecydowała się na wyjazd za ocean?
3. Na podstawie źródła, a także wiedzy pozaźródłowej zastanów się dlaczego autor w tak negatywnym świetle pokazuje polskich migrantów z Galicji?

#### **Pytania dla uczniów szkoły średniej (poziom rozszerzony):**

1. Autor tekstu wskazuje na proces izolowania się Polaków od innych nacji. Czy można go porównać ze współczesnym procesem gettoizacji jaki ma miejsce w europejskich miastach?
2. Odpowiadając na podstawie lektury tekstu i własnej wiedzy scharakteryzuj stosunek amerykańskiej Polonii do polskości. Czy Twoim zdaniem uległ on zmianie w przeciągu ostatnich 130 lat?

#### **Wskazówki:**

Listy Habdanka-Dunikowskiego prezentują subiektywną rzeczywistość Polonii w USA sprzed ponad 130 lat. Jednocześnie autor zawarł w tekście informacje, które są charakterystyczne dla dużych grup migrantów przybyłych na nowe ziemie bez względu na czasy; nieznamość języka, biedę w początkach swej emigracyjnej drogi, proces gettoizacji. „Listy z Ameryki” warto czytać zarówno w kontekście czasów o jakich opowiadają, jak również problemów związanych z migracją. Wiele z zagadnień poruszanych w źródle jest zjawiskiem uniwersalnym dlatego warto w dyskusji nad tekstem zwrócić uwagę na jego ponadczasowość.

#### **Literatura pomocnicza:**

Walaszek A., *Polish American History Before 1939: Polish-American History from 1854 to 2004*, New York 2024.

Terlecki D., *Po dolary i wolność Śladami Polonii w Ameryce*, Warszawa 2019.

Pollack M., *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji*, Wołowiec 2017.

Kula W., Assorodobraj-Kula N., Kula M., *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890-1891*, Warszawa 2012.

Grzebień L., SJ, *Burzliwe lata Polonii Amerykańskiej. Wspomnienia i listy misjonarzy jezuickich 1864-1913*, Kraków 1983.

#### **Najważniejsze cezury:**

Źródło powstało pod koniec XIX wieku i obrazuje Polonię amerykańską, która osiedlała się na tamtym terenie od blisko 20 lat. „Listy z Ameryki” powstały jednak w okresie najbardziej



wzmoczonej migracji, gdy setki tysięcy Polaków ze wszystkich trzech zaborów migrowało „za ocean” dla lepszych warunków życia. To co zastali na miejscu nie zawsze pokrywało się z ich oczekiwaniami, zwłaszcza, że grupy, przybywające na przełomie XIX i XX wieku miały zdecydowanie mniej korzystne warunki do egzystencji niż rodacy, którzy pojawili się w USA wcześniej.

**Imię i nazwisko osoby opracowującej rekord:** Tomasz Jacek Lis

---

[1] *Modlitwa - zdrowie - komunikacja : praca i życie Sióstr Felicjanek*, [red. R. Nęcek, W. Misztal], Kraków 2019; <http://feliciansisters.org/>

[2] S. Barszczewski, *Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej: Jego rozwój, działalność i stan obecny. Na pamiątkę stuletniej rocznicy Powstania Kościuszkowskiego*, Chicago 1894.

[3] J. Skrzypek, *Czasopiśmiennictwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej pod koniec XIX wieku (1866-1900): przegląd bibliograficzno-materialowy*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego”, Nr 3/1 (1963), s. 160-161.